Weißkugel

Chcąc zdobyć najwyższe szczyty Austrii nie sposób pominąć Weißkugel, który zajmuje w tym rankingu bardzo wysokie – 3-cie miejsce. Pogodę i warunki zacząłem sprawdzać już rok wcześniej, ale tamten sezon był wyjątkowo kapryśny, jeśli chodzi o pogodę. Do podróży do Austrii w 2021 nie zachęcał również zamordyzm szczepionkowy, jaki się tamtemu narodowi udzielił.

Czego się nie udało zrobić w 2021, udało się w 2022. Na szczycie stanęliśmy 25-go dnia wyjątkowo upalnego czerwca. Relację napisałem w dniu 28-go października tego samego roku.

> Pod kątem planowania Weißkugel jest o tyle wygodny, że mamy na niego podgląd live z bardzo ładnej i praktycznej perspektywy. Wystarczy wejść pod ten adres.

Trasa do schroniska

> Parkujemy w Melago na wysokości 1915 m. Na parkingu dostępna toaleta.

Trasa do schroniska Weißkugelhütte dobrze oznaczona, stosunkowo krótka. Aktualny cennik na pewno znajdziecie w Internecie, niemniej mi pozostała w głowie kwota jaką usłyszałem: 62€ za dobę z wyżywieniem. Czyli jakieś 62 złote dla Niemca, ale nie dla nas. Dlatego na rozdrożu, ku rozczarowaniu mojej ekipy skręcam w prawo i idę w kierunku lodowca. Pozostali liczyli, że chociaż na chwilę do schroniska zajdziemy, na piwo czy coś. No ale to nie ze mną niestety, ja się pierwszego dnia nie wyluzuję, póki nie znajdę miejsca na nocleg (z dostępem do wody). Nie wyluzuję się również, wiedząc, że przed nami jeszcze kilka godzin słonecznego dnia, który można wykorzystać na tzw. zwiady, czyli obczajenie przynajmniej kawałka drogi w kierunku tego czy innego szczytu.

Namioty rozbijamy przy samym „szlaku” niedaleko jęzora lodowca. Oczywiście trzeba mieć świadomość, że każdego roku to miejsce będzie znajdowało się dalej i wyżej. Z miejsca, w którym spaliśmy mieliśmy najwyżej 20 minut drogi do schroniska, oraz zaledwie kilka minut na lodowiec.

Zwiad

Jeszcze tego samego dnia co przyjechaliśmy, tj. 23-go czerwca, ruszamy z Agą i Asią na zwiad. Docieramy do wysokości ok. 3000 metrów „normalną” drogą, czyli taką, która się pokrywa z mapą i opisami, które czytałem przed wyjazdem. Wchodząc nią jednak zataczamy koło, więc nieustannie zerkam w prawo, bo wydaje mi się, że można tamtędy krótszą trasą pomknąć do wejścia na północną grań.



Jeszcze niedawno w tym miejscu był lodowiec. Teraz rosną trawki.



Nieustannie cofający się jęzor lodowca



Na zwiadach



Odwieczny dylemat: skakać czy obchodzić?



Tym śnieżnym zboczem wchodziliśmy na grań.



Takim mapą nie wierzcie. To już historia. Tyle lodu było może 40-50 lat temu.



Uczczenie Asi urodzin w najmilszych możliwych okolicznościach



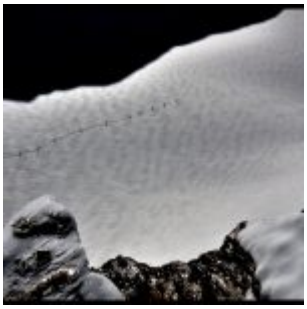
Komiks



Idziemy skrótem



Podejście z lodowca na grań



13-to osobowa grupa zmierza w kierunku przełęczy a potem na Langtauferer Spitze



Tu pokazuję nasz wariant



Jeden z łatwiejszych odcinków Nordgrat



Ci się fotografują a ja gdzieś tam czekam!



Asia na grani



Aga pierwsza na szczycie



Ekipa w komplecie



Rozpoczynamy schodzenie



Spojrzenie w kierunku szczytu na drogę zejścia.



Zejście lodowcem Langtauferer



To był długi dzień

Zwiad nr 2

Drugiego dnia szczyt spowijają chmury. Prognozy też nie zachęcały do działania, gdyż miał padać deszcz. Mamy zatem cały dzień na rozeznanie terenu. Gdybym tylko wiedział, że prognoza się nie sprawdzi, to na pewno ten dzień spędzilibyśmy inaczej. Na przykład na zdobywaniu górującego nad naszymi głowami Weißseespitze, mierzącego 3518 metrów. Był on również w moich planach na ten wyjazd, ale spękałem przed prognozowanymi opadami.

Nie tracimy jednak tak zupełnie czasu i – tym razem z Tomkiem

– idziemy obczaić tę drogę, którą wczoraj wypatrzyliśmy. Okazuje się ona krótsza i w miarę łatwa do przejścia, poza jednym miejscem, gdzie musieliśmy skakać przez szczelinę. Szybko docieramy z Tomkiem do miejsca, z którego widzimy obniżenie w grani północnej i pozwala nam to ocenić śnieżny stok, którym jutro dostaniemy się na siodełko.
Rekonesans uznajemy za udany i wracamy naokoło, podobnie jak wczoraj, normalną drogą do namiotu.

W tym czasie Asia i Aga nie próżnują i wchodzą na położony powyżej 3 tysięcy metrów punkt o nazwie Schmied. Po zejściu kierują się prosto do namiotów. W tym czasie Tomek decyduje się udać do schroniska i rozmija się z dziewczynami. Kiedy dziewczyny wracają, namawiają mnie na pójście do schroniska, które same w tej całej zabawie ominęły. Po drodze, właściwie niemal przy samych namiotach spotykamy Tomka, który wraca. Dziewczyny nakazują mu wejść z powrotem do schroniska, bo szykuje się impreza.

Impreza

Rok temu w urodziny Asi byliśmy razem pod Skrlaticą w Alpach Julijskich. I były balony. Dziś jesteśmy pod Weißkugel, i znów mamy ze sobą balony! W bufecie przy schronisku Asia kupuje 2 butelki wina i robi się naprawdę wesoło. Wracamy w dobrych humorach do obozowiska, czas teraz pojeść i wypocząć bo jutro wielki dzień.

Atak szczytowy

W nocy mam gonitwę myśli i zupełnie niepotrzebnie zaczynam mieszać. Deszcz w końcu spadł i padało do rana, a co za tym idzie, wyżej skała została przyprószona śniegiem. I co z tego? – dziś się pytam. Otóż nie był to żaden powód do zmartwień, a moja obawa o mało nie spowodowała zarzucenia planu wejścia północną granią i pójścia drogą normalną. Paradoksalnie droga normalna na Weißkugel, jak i inne drogi normlane na inne szczyty w dzisiejszych czasach przestają, lub całkiem przestały funkcjonować. A wszystko to z powodu wysokich

temperatur i topnienia lodowców. Dlatego dziś nie tylko gorąco polecałbym każdemu wejście północną granią, ale zachęcałbym również do opatentowania drogi zejścia w odwrotnym kierunku.

Ale po kolei: idziemy zgodnie z planem skrótem, jaki znaleźliśmy z Tomkiem i docieramy pomiędzy odkrytymi szczelinami do zbocza prowadzącego na grań. Tutaj, już bez liny człapiemy na grań i posuwamy się wzdłuż niej w kierunku szczytu. Szczegółowo opisywać tej drogi nie będę, nadmienię jedynie, że liny na tej trasie nie używaliśmy. Trudności niewielkie, praktycznie przez całą drogę łatwa i przyjemna wspinaczka. Najbardziej strome miejsce to było te zaraz za drugim śnieżnym siodłem (tym przed szczytem). Tam odbiliśmy nieco w lewo i bocznym ramieniem wydostaliśmy się na grań przed wierzchołkiem. Być może gdybyśmy chcieli trzymać się linii grani to nie było by tak łatwo (w którymś z opisów tam właśnie asekurowano się na sztywno).

Wejście na szczyt kojarzę ze zmąconymi uczuciami, ponieważ spodziewałem się czystej walki w śniegu i lodzie, a zobaczyłem błoto. Autentycznie, brakowało tylko, żebyśmy założyli wtedy gumiaki. Ta góra niestety topi się w oczach i wspominam ją jako klasykę „zmiany warty”. Mam na myśli to, że wchodzimy w nową epokę alpinizmu, gdzie wszystkie opisy i mapy możemy włożyć do archiwum, bo wejścia na większości gór trzeba będzie patentować od nowa. I nie tylko raz opatentować, lecz kombinować za każdym razem, każdego roku, ponieważ zmiany będą postępować tak szybko.

Zejście

Ze szczytu schodzimy w kierunku południowym, na drogę „normalną”. Linę wyciągamy dopiero przed wejściem na lodowiec Hintereisferner, i tu się zaczyna dopiero „zabawa”. Aga decyduje się przeprowadzić nas przez ten koszmar, a wyzwanie jest niemałe. To już nie ta prosta linia, jaka widnieje na starych mapach i w starych przewodnikach. Bo w 2022-gim roku (i to już w czerwcu!!!) jest to wytopiony nierówny teren,

pełen podejść, zagłębień i głębokich szczelin.

Pomimo doskwierającego upału na lodowcu (kto doświadczył, ten wie o co chodzi) idzie nam całkiem nieźle. Skutecznie zbliżamy się do przełęczy, z której czeka nas zejście w miarę łatwym lodowcem do namiotów. Napotykamy jednak szczelinę, która zajmuje nam sporo czasu i kosztuje nieco nerwów. Podpowiadam tu Adze, by weszła na skałę i z niej spróbowała (dosłownie i w przenośni) przeskoczyć ten problem. Aga nie wiedzieć czemu jednak nie okazała się skłonna pójść za moją radą i wybiera wariant czołgania po wątpliwej jakości moście śnieżnym. Dopiero gdy przychodzi moja kolej i staję w tym miejscu dowiaduję się o co chodzi: skok byłby samobójczy, gdyż w miejscu lądowania znajdował się mokry i płytki śnieg, a pod spodem pustka. Jednak gdy tylko Aga znalazła się pod drugiej stronie, ryzyko zmalało, gdyż każda kolejna osoba mogła polegać na dodatkowym punkcie zaczepienia. Nawet Tomek, który przechodził ten kluczowy moment jako ostatni ryzykował niewiele, bo zapadając się w szczelinę miałby kotwicę złożoną z trójki ludzi w kopnym śniegu i we względnie bezpiecznym terenie.

Na przełęczy spoglądamy w kierunku Langtauferer Spitze (3529 m). Ten 15-ty pod względem wysokości szczyt Austrii jest również na mojej liście, ale dziś go sobie odpuścimy, bo wcale nie prowadzi na niego 40 minutowy spacer, jak to sobie wyobrażałem na podstawie starych opisów. A to oznacza, że będę musiał tam wrócić po niego od tej czy innej strony.

Łatwa trasa, jaka miała nam od tego momentu wyznaczyć drogę do obozu nie była wcale tak do końca łatwa. To tutaj doszło do zabawnej sytuacji, w której Tomek zapadł się nogami pod śnieg i nie był w stanie się wydostać. Wróciłem do niego i próbowałem ciągnąć, pchać, kopać i podnosić, ale bez rezultatu. Ani mu tym pomogłem, ani zaszkodziłem, ale koniec końców nie musieliśmy odcinać liny i go tam zostawić (w tym gronie możemy sobie pozwolić na rzucanie takich pomysłów) i Tomek wygrzebał się z tego. Ze zdjęć z tej akcji można by

ulepić niezły komiks.

Skok przez szczelinę

Docieramy do miejsca znanego nam ze zwiadów z poprzednich dni. I tu debatujemy czy: wracać normalną drogą, jak to zrobiliśmy z Tomkiem wczoraj, czy może wrócić tą samą drogą, którą rano wchodziliśmy – czyli tzw. skrótem. Decydujemy się na skrót, co było całkiem praktyczne, bo przecież szliśmy tamtędy dzisiaj, no i przecież z góry to szczeliny jeszcze lepiej widać niż idąc z dołu. No i to nie była najszczęśliwsza decyzja, bo mieliśmy wrażenie, że idziemy zupełnie innym lodowcem, niż rano. Kluczenie i błądzenie pomiędzy odkrytymi szczelinami było tym bardziej uciążliwe, że każdy z nas chciał już mieć to za sobą i brakowało cierpliwości. W pewnym momencie docieramy do miejsca, gdzie jedynym sposobem okazuje się skok przez rozpadlinę. Widząc wahanie przyjaciół i chcąc dać przykład niemal z miejsca skaczę i ląduję po drugiej stronie. Oglądam się i co widzę? Entuzjazm? Nie! 3 pary oczu patrzą na mnie i wyczytuję z nich nieme: „CHYBA CIĘ POJE…O”. Ale nie odpuszczam, proszę, namawiam: „to tylko jeden skok!”. Ulegają mi wreszcie i kolejno robimy taki numer, że gdy osoby po jednej stronie starają się utrzymać optymalne naciągnięcie liny, to ja z drugiej strony truchtam z liną i pociągam skaczącego dodając mu pędu. W ten sposób nareszcie wszyscy znajdujemy się po właściwej stronie i możemy dalej kluczyć jak pijani próbują odnaleźć drogę, którą rano bez żadnych problemów przeszliśmy. Dalsza część opowieści byłaby już nudna i tendencyjna, więc spuentuję ją tym, że z zaliczeniem jednej gleby, po której Aga prezentowała do aparatu zakrwawione palce szczęśliwie dotarliśmy do namiotów.

I to jest koniec opisu przygody zdobywania 3-go pod względem wysokości szczytu Austrii.

> *Na czym polega istota przygody? Na tym, że zostajemy rzuceni w nieznane i nie mamy pojęcia, jak się stamtąd wydostaniemy* – **Wojtek Kurtyka**

tekst: Dziku
zdjęcia: Dziku, Tomek, Asia